

„MYŚLAŁEM, ŻE TO TYLE, CO WYRWANIE ZĘBA”

Rozmowa o aborcji w dawnej NRD

W aktualnie toczącej się dyskusji nad aborcją, spowodowanej ponownym zjednoczeniem Niemiec, propaguje się nierzadko stosowaną jak dotąd jeszcze praktykę NRD-owską jak „bardzo postępową” i stanowiącą „przyjazne dla kobiet wyjście z sytuacji”; rzadko wskazuje się natomiast na interes dawnych reżimów, którym — jeżeli już się podnosi tę kwestię — miałyby jedynie chodzić o „prawo do samo-stanowienia” kobiety.

W rzeczy samej jednak rzeczywistość aborcji w dotychczasowej NRD jest mało znana. Refleksje poniższe są owocem rozmów, jakie przeprowadziłam jeszcze w 1988 r. z lekarką ginekologiem. I chociaż zestawione tu wypowiedzi mają wyraźnie świeckie zabarwienie, to przecież wynika z nich jasno, że zarówno dla lekarzy, jak też zainteresowanych tą kwestią matek (i ojców), dotychczasowa praktyka NRD-owska nasuwa wiele problemów i wątpliwości.

Lekkomyślność wielu kobiet, zwłaszcza młodych, przybiera na sile. Decydują się (może nieświadomie) na ciążę. Jej zaś przerywanie stało się obecnie trzecią metodą regulacji poczęć. Wniosek nasuwa się sam przez się: uprawomocniona aborcja nie ma nic wspólnego z równouprawnieniem. I chociaż jako lekarka nie odrzucam prawa do aborcji, nie zgadzam się zdecydowanie z tym, by wszystkie kobiety bez wyjątku, o ile tylko tego zapragną, mogły domagać się usunięcia z ich wnętrza własnego dziecka. Nikogo przecież nie interesuje to, czy zaszły w ciążę z lekkomyślności czy też świadomie i dobrowolnie. A dzieje się w gruncie rzeczy tak, że wiele kobiet „odkrywa” aborcję jako nową metodę zlikwidowania następstw własnej lekkomyślności, jakby jakieś oczyszczenie, wyswobodzenie się, wyswobodzenie, i koniec. I to mnie bardzo niepokoi. Kobiety te (ale także i mężczyźni) postępują nie tylko nierozważnie, ale naruszają etyczne wartości. My natomiast ze swej strony przyczyniamy się do tego, że taka postawa staje się dla nich czymś bardzo zwyczajnym. Z biegiem czasu przestają nawet żałować swego czynu.

Z prowadzonych z nimi rozmów wiem dobrze, że są takie kobiety, którym trudno jest zdecydować się na podjęcie tego kroku. Uświadamiają sobie, że tylko od nich zależy śmierć własnego

ich dziecka. A przecież i wśród tych ostatnich nie brakuje takich, które decydują się ponownie na przerwanie ciąży.

Pewna młoda kobieta zgłosiła się do placówki medycznej, aby przerwać trzecią już ciążę. Gdy ją zobaczyłam, zaczęło mi gwałtownie bić serce. Rozmawiałam z nią bowiem poprzednio, gdy domagała się przerwania swej drugiej, niepożądanego ciąży. Poświęciłam jej wtedy wiele czasu. Chciałam po prostu się dowiedzieć, dlaczego w tak krótkim odstępie czasu powtórnie zaszła w ciążę i czy stosuje jakieś środki antykoncepcyjne. Nie stosuje, bo nie chce ingerować w naturalne procesy organizmu. A czy przerwanie ciąży nie jest taką, bardzo groźną ingerencją? — zapytałam, „Jestem przeciwniczką aborcji” — odpowiedziała.

Zasadniczo, na skutek braku miejsc (łóżek szpitalnych) przyjmuje się kobiety pragnące dokonać aborcji na bardzo krótki okres czasu. W naszej klinice jest trochę lepiej. Niekiedy się zdarzało, że kobiety mogły w niej pozostać aż 5 dni. A przecież jest to niezbędne dla uniknięcia wielu powikłań i komplikacji. Osobiście zresztą chcę pomagać. Uważam to za swój obowiązek. Praktycznie jednak ograniczam się do samych tylko rozmów z kobietami. Czy to wystarcza?

Często siadają przede mną kobiety milczące, zablokowane wewnętrznie. Nie życzą sobie tego, bym je wypytywała o ich życie prywatne. I wtedy staram się nie wtrącać. Stawiam jedynie obowiązkowe, rutynowe pytania. Zjawiają się jednak takie pacjentki, które chcą omówić ze mną swe problemy życiowe. Czekają na wyraźną odpowiedź, że np. nie powinny mieć „tego” dziecka. Płaczą i czekają na pomoc. A ja się zastanawiam, co stanie się z tym dzieckiem, gdy przyjdzie ono na świat...

Oto siedzi przede mną młodociana przyszła matka, tak wątła i szczupła, że po prostu nie sposób, by mogła urodzić duże, zdrowe dziecko. I cóż mam jej poradzić? Najczęściej jednak dokładam starań, aby uratować nienarodzone dziecko. I nie brakuje takich kobiet, które po rozmowie udają się zaraz do domu. To właśnie sprawia mi największą radość.

Przeżywam coś wyjątkowego. Kobiety przenoszone do sali operacyjnej zaczynają niemal zawsze natychmiast płakać. Nie wszystkie, to prawda. Ale niektóre bardzo mocno. I to mnie obezwładnia. Dawniej myślałam, że boją się operacji. Po pewnym czasie zaczęłam ponownie stawiać im pytanie, czy decydują się na aborcję. Żadna, dosłownie żadna (z jednym tylko wyjątkiem) nie chciała poddać się zabiegowi. Uważam więc, że gdzieś głęboko w podświadomości nie pojawiło się jeszcze oddzielenie matki od płodu — aż do tego momentu krytycznego: operacji! Chodzi

mi, rzecz jasna, o duchowe oddzielenie. Nie znam się na tym dokładnie. I dlatego przestałam stawiać już płaczącym kobietom takie pytanie, wystarczy mi, że widzę ich ból i łzy...

Rozmowa z nimi ma dla mnie zawsze wielkie znaczenie. Poświęcam na nią wiele czasu. Szczególnie kobiety po trzydziestce mają wiele problemów. Ja zaś nie umiem znaleźć właściwych słów, aby im faktycznie pomóc. Niekiedy trudno mi jest się skupić, albowiem mam wciąż w myśli to, co wcześniej przeżyłam. Gdy któraś z takich kobiet jest bardzo zamknięta, a ja staram się wniknąć w nią głębiej, dowiaduję się nagle, i to wcale nierzadko, że mąż domaga się usunięcia ciąży i zniszczenia własnego dziecka. Początkowo wydawało mi się to straszne, okropne, i przypominałam sobie, jak mój mąż zareagował na wiadomość o mojej trzeciej ciąży. Ale on nie domagał się wcale jej usunięcia. (Nie byłby w stanie tego uczynić). To w moim własnym ciele rośnie nowe życie. On o tym wie i wie dobrze, że tylko ja jestem w stanie je odczuwać (to nowe życie). Jemu brakuje tego doświadczenia, i jest o tyle uboższy. Każde ciało kobiece nastawione jest na poczęcie i ciążę — niezależnie od woli kobiety — a jej świadomość reaguje żywo na każde (nowe) jej macierzyństwo. Sama zresztą nie wiem, co bym uczyniła w podobnej sytuacji. Niemniej aborcja dla mnie jako lekarza jest wprost nie do pomyślenia.

Jestem też głęboko przeświadczona, że nie można w żadnym wypadku zmuszać kobiety do podejmowania takiego kroku. Jeżeli zaś jakaś kobieta gotowa jest z miłości do męża poświęcić własne dziecko, wiem z doświadczenia, że wkrótce potem dojdzie u niej do klęski. Tylko że mężowie o tym nie myślą i tego nie wiedzą!

Przyszła kiedyś do mnie bardzo młoda kobieta. Opowiedziała, że jej ukochany jest żonaty. Wystarczy mu dwoje dzieci. A tymczasem oni bardzo się kochają. Drży więc z obawy, że może stracić swego ukochanego. On już jej groził. „Nigdy mi nie wybaczy, jeśli urodzę mu dziecko”. Siedziała przede mną, pełna zwątpienia, a zarazem zakochana po uszy. Była pierwszy raz w ciąży i bardzo pragnęła tego dziecka. Poradziłam jej, by powiedziała swemu ukochanemu, że minął już termin dopuszczalności przerywania ciąży. Ucieszyła się tym niesłychanie i donosiła dziecko. W rok potem spotkałam ją przypadkowo. Była bardzo przygnębiona. Dowiedziałam się, że mężczyzna ucieszył się swym synem i że jakiś czas żyli razem ze sobą — w zgodzie. Ale ostatnio nawiązał on nową znajomość. Powiedziałam wówczas: „Mogłoby to się przydarzyć także wówczas gdybyście nie mieli dziecka”.

Gdy mam wątpliwości, zapraszam do kliniki mężczyzn. Nie każdy przychodzi, ale zjawia się ich dosyć wielu. Omawiam z nimi

problem i wtedy, rzecz dziwna, reagują zgoła inaczej niż w domu. Dosyć często mówią: „Jeżeli tak się rzeczy mają, to nie ulega wątpliwości, że dziecko powinno się urodzić!”. Tylko bardzo rzadko trwają przy swej odmowie. Jeden z nich powiedział mi kiedyś zdumiony: „A ja myślałem, że to tylko tyle, co wyrwanie zęba”.

Mężczyźni nie wiedzą, jak dalece rozwinęło się dziecko do chwili, gdy chce się je zabić. Gdy jednak dowiadują się o tym, są dogłębnie poruszeni. Mężowie w ogóle o tych sprawach nie myślą, gdy skłaniają swe żony do przerwania ciąży. Uważają, że żona jest w tarapatkach i trzeba znaleźć jakieś wyjście z takiej sytuacji. Są zaś nazbyt leniwi, aby się poinformować dokładnie o tym, co dotyczy aborcji. Gdy ich pytam, dlaczego żona nie chce mieć dziecka, przeważnie ociągają się z odpowiedzią, wahają: chyba jej coś nie leży... mamy za małe mieszkanie... oszczędzamy na samochód... budujemy dom... A potem — jeszcze w trakcie rozmowy — chcą mieć to dziecko.

Teoretycznie moja placówka winna świecić pustką. Istnieją przecież różne środki antykoncepcyjne... Ale samo ich używanie wywołuje po latach wewnętrzną odrazę. Wiem to dobrze z własnego doświadczenia. Wiele kobiet obciąża ponadto sama myśl, że tylko one mają odpowiadać za regulację poczęć. Czują się bowiem obciążone winą, gdy ktoś im wmawia, że na skutek ich niedbalstwa czy zapomnienia zaszły w ciążę.

Spółczeństwo nasze potrzebuje dzieci. I wszystko zdaje się wskazywać na to, że jest *pro*-kreacyjne. A przecież każda kobieta, o ile tylko sobie tego życzy, może dokonać aborcji. „Na Boga — wołają koledzy — obyśmy nie musieli przez cały dzień dokonywać skrobanek”. Ale musimy to czynić: tego się od nas wymaga. A do tego te połajanki od szefa, gdy któraś kobieta dostaje potem gorączki, albo też gdy niechcąc skaleczę jej macicę. Nie tylko że sama tym się bardzo przejmuję, a on jeszcze krzyczy na mnie, i to głośniejszym głosem niż na kolegów. Trudno to dłużej wytrzymać...

Czasem zdarza się też coś dziwnego. Po zabiegu prosiła mnie jedna z pacjentek o założenie jej spirali. Powiedziałam, że tego się u nas nie czyni. A kobieta na to: „Przyniosę pani mięso. Pracuję przecież w masarni”. Odpowiedziałam jej, że mięso kupię w sklepie. (Nie ma tam, rzecz jasna, nic dobrego, ale przyzwyczaiłam się do tego). Wolę już nie jeść mięsa niż popełniać takie przestępstwa. Ale jest to u nas powszechne! Bez znajomości i stosunków nie da się kupić niczego dobrego.

Nie tak dawno przydarzył mi się przypadek, o jakim mi się w ogóle nie śniło. Kobieta, która dokonała aborcji, przyszła do mnie i powiedziała, że po wyjściu z kliniki poczuła wielką winę

z powodu przerwania swej ciąży. I do tej chwili nie może przyjść do siebie. Jej mąż tego wcale nie rozumie. Niemniej ona chce się niejako oczyścić, rodząc nowe dziecko. I mąż na to się zgadza. Nie wiedziałam dotąd, że kobiety, które dokonały aborcji, czują się tak bardzo winne, zakompleksione, obolałe. Nie wszystkie, co prawda, ale w olbrzymiej większości, zwłaszcza zaś te starsze...

Z rozmów z nimi wynika, że kobiety oplakują często (i długo) swe zniszczone dziecko. Myślą latami o tym dziecku, które się nie narodziło. Wyobrażają sobie, jakby się ono rozwijało, wzrastało i jakim by było w tej chwili. To mnie niekiedy irytuje; nie wiem bowiem, co mam im powiedzieć. Istnieje z pewnością jakaś bardzo złożona problematyka „po-aborcyjna”, której nie umiem wyjaśnić. Klinika niczego tu nie załatwi.

Kobiety nie znają wielu szczegółów. Powinno się je o nich pouczać. Czynię to nieraz, na ile to tylko możliwe. Uważam zresztą, iż rozmowa lekarza z pacjentką, przeprowadzona przed aborcją, pozwala kobiecie podejść do faktów w sposób bardziej racjonalny i mniej uczuciowy. Może być też dla niej wielce pomocna i pożyteczna. Ale właściwe przygotowanie musi się odbywać o wiele wcześniej. Wydaje mi się bowiem, że kobiety zachodzące na nowo w ciążę na skutek gnębiącego je poczucia winy, mogą traktować to nowe dziecko jako jakąś namiastkę, coś zastępczego. A przecież byłoby to podejście z gruntu fałszywe. I niebezpieczne. Także dla nich samych. O ile bowiem to nowo-urodzone dziecko stałoby się dla nich jakimś innym, drugim, a nie po prostu dzieckiem, poczucie winy mimo wszystko pozostanie.

Kiedys powiedziała mi jedna z pacjentek, że chce dokonać aborcji. Nie lubię tego słowa. Kojarzy mi się ono z morderstwem, przestępstwem, jakimś ciemnym, brudnym pomieszczeniem i podejrzаныmi osobnikami podejmującymi się nielegalnych aborcji. Zresztą pojęcie „aborcja” ma negatywny wydźwięk moralny: niedozwolone i nieuzasadnione przerwanie ciąży. Przed r. 1972 kobiety ukrywały często przed własnymi mężami fakt przerwania ciąży i obawiały się ponadto należnej im kary. Ale i teraz nie brak ponurych wydarzeń.

Dziewczyna w piętnastym tygodniu ciąży przychodzi do mnie razem ze swą matką. Dziewczyna chce naprawdę urodzić to dziecko. Jej matka natomiast nalega twardo na „zabieg”. Oczywiście, chciałam uratować tę ciążę, ale nie wiedziałam, co robić i jak przekonać jej matkę. Zapytałam, dlaczego nie zgadza się z wolą swej córki i tak mocno domaga się „zabiegu”. A ta zamiast rzeczowo odpowiedzieć, wpada w szal i woła: „Jeżeli to dziecko zostanie, to ja odbiorę sobie życie”. Widzę, że dziewczyna zaczyna

drzeć i płakać razem ze swą matką. Ugina się po prostu pod tym brutalnym naciskiem. Ja zaś nie byłam w stanie przekonać jej matki. Powiedziałam tylko, że córka nie wybaczy jej tego. Nie było jednak z jej strony żadnej reakcji.

Często doświadczam tego, że nieletnie dziewczyny nakłaniane są do aborcji przez własne matki, albowiem wymagany jest ich podpis przy przyjęciu do szpitala, albo też obecność przy porodzie córek. Równocześnie widzę dobrze, jak bardzo potrzebna jest takim dziewczętom, zwłaszcza gdy chcą donosić i urodzić dziecko, pomoc i opieka rodziny, a zwłaszcza matki. Potrzeba im bowiem odpowiedniego przygotowania, pouczenia, ale także poczucia bezpieczeństwa i troski. Natomiast prawdziwym szokiem dla nich, zostawiającym wyraźne ślady na całym ich życiu, jest nacisk wywierany na nie przez kogoś z najbliższych, aby pozbyły się swego dziecka. I to nawet w piętnastym tygodniu! Jest to już bowiem dosyć rozwinięte dziecko, poruszające rączkami i nóżkami...

Dla mnie osobiście aborcja dokonywana już po piątym tygodniu jest wielkim problemem. Jeżeli nawet komisja lekarska przychyliła się do wniosku o przerwaniu ciąży po dwunastym tygodniu, to sama osobiście z tym się nie zgadzam. Nie mogę wprost patrzeć na to, jak wydobywa się z łona matki osobno każdą rączkę i nóżkę, rozrywając w ten sposób żywego człowieka. Po dwunastym tygodniu aborcja powinna być kategorycznie zakazana. Ale też chyba znacznie wcześniej...

Zdarzyło mi się, że trzeba było usunąć ciążę w 23 tygodniu (tak, to fakt autentyczny). Było to tragiczne. Co zrobię — myślałam — gdy pojawi się dziecko zdolne do życia? — Gdy zacznę płakać? Zgodnie z obowiązującym prawem dziecko musi być uratowane! W przeciwnym razie dokonam morderstwa! Ale w takich przypadkach ustawia się gdzieś w pobliżu odpowiednio wielki pojemnik z wodą, aby móc szybko wrzucić do niego urodzone (poronione) żywe dziecko... Bogu dzięki (!), że mi się to nigdy nie przytrafiło. W takich przypadkach pocę się cała. Nie wiem nawet, co robię, i nie mam pojęcia, co zrobię, gdy znajdzie się w mych rękach dziecko zdolne do życia... I dlatego m. in. jestem wściekła na tych, którzy wyrażają zgodę na aborcję po 12 tygodniu ciąży.

Przy „zabiegu” nigdy się nie śpieszę. Nie czuję się zresztą potrzebna... Nie jestem też w stanie wyobrazić sobie, by to, co się dokonuje, było dobre dla kobiety. Przeciwnie! Nie mogę na przykład zapomnieć, jak przy wysysaniu płodu zraniłam macicę. A przytrafiło mi się dwukrotnie, raz za razem. Drżałam z obawy o życie matki. To było okropne! Macica jest przecież tak deli-

katna, tak miękka. Zwłaszcza od 12 tygodnia ciąży. Wcale jej się nie czuje... I nagle przyrzędy wchodzą gdzieś bardzo głęboko... Tego, co wówczas przeżyłam, nie da się po prostu opisać. Drżałam na całym ciele...

Gdy stoję przy łózkach moich pacjentek, one nie wiedzą i nie mogą nawet wiedzieć, dlaczego jestem taka cicha, niema. Im się wydaje, że żyję pełnym życiem — na ich koszt. Nawet nie przypuszczają, że niekiedy ledwo trzymam się na nogach, że jestem przepracowana i przemęczona. Skąd miałyby zresztą o tym wiedzieć? — Nikt im o tym nie mówi. Powiedzą co najwyżej do siebie, że mam dla nich za mało czasu. A tymczasem gdy wracam do domu, niczego mi się nie chce. Siadam gdzieś w kącie i milczę. Mąż mówi mi o kolacji. Zasypiam nawet przy stole. Zapominam często o własnych dzieciach...

Niekiedy, gdy wracam z pracy do domu, nie mam po prostu siły na to, by porozmawiać z dziećmi, zająć ich sprawami. Jestem tak wypompowana, że trudno mi słuchać i myśleć o tym, o czym one mówią i co chcą mi powiedzieć. A cały ten bałagan w mieszkaniu! Uspokaja mnie tylko to, że mąż troszczy się o dzieci. Jako naukowiec ma on jednak zbyt mało czasu na zajmowanie się zwykłymi, codziennymi sprawami.

Tak bardzo chciałam być ginekologiem! A co teraz robię? Uczestniczę (czynnie) w 12 „zabiegach” dziennie. Na dłuższą metę jest to nie do wytrzymania! Tego rodzaju „praca” całkowicie mnie wykańcza. Chcę być lekarzem, ratować ludzkie życie... Pragnęłabym zajmować się kobietami chorymi, leczyć je. Wokół jest tyle cierpień, bólu. Ale tej pracy (z chorymi) wcale się nie lękam. Boję się tylko tego, co niszczy i zabija człowieka.

Mój syn jest przewlekłe chory. Czuję się wobec niego winna. Córnka wymaga mniejszej opieki. Jest spokojna i dzielna. Ale może — myślę sobie — jest to jej własny „sposób” na życie bez matki (której nie ma w domu). Psycholog mi mówi: „Twój syn potrzebuje wsparcia” Ale ja nie mogę sobie pozwolić na pracę na pół etatu. W moim zawodzie coś takiego nie istnieje. Ponadto, w przypadku trzyletniej przerwy w pracy tracę zawód lekarza. I dlatego nawet nie chcę o tym myśleć. Mój zawód wymagał tylu lat studiów i pracy. A tymczasem ile szkody wyrządzam nim własnym dzieciom! Chciałabym być równocześnie jak najlepszą matką, żoną, lekarką, gospodynią domową. Ale tego w praktyce nie da się pogodzić. Czuję się więc wewnątrznie rozdarta.

Ponadto nie daje mi spokoju nasuwające się wciąż na myśl pytanie: czy niszczę nowe, ludzkie życie, dokonując przerwania ciąży? Każdy lekarz wykonujący ten zawód musi sam sobie na

to pytanie odpowiedzieć! Uważam, tak mi się przynajmniej wydaje, że to zalegalizowane ustawowo przerywanie ciąży jest jakimś krokiem naprzód na drodze społecznego rozwoju. A przecież czuję się wewnątrznie bardzo nim obciążona.

W trakcie jednego ze spotkań (konferencji) ginekologów pewien profesor z RFN przedstawił serię zdjęć ukazujących dziecko w łonie matki od 9 miesiąca ciąży po 9 jej tydzień, a więc niejako od końca. Zdjęcie ukazywało płód, niewinny, mający ręce i nogi, reagujący już na bodźce; obok zaś tego dziecka znajdował się przyrząd niemiłosierny, bezlitosny — rurka ssąca. Poruszyło mnie to dogłębnie. Napłynęły odruchowo łzy do oczu. Pomyślałam o 24 letniej kobiecie, która krótko przedtem przyszła do mnie, aby przerwać ciążę. Kobieta ta także płakała, gdy z nią rozmawiałam, ale stanowczo odrzucała to swoje poczęte już dziecko. Byłam tym poruszona. Kiedy leżała już w łóżku, zgnębiona doszczętnie, namówiłam ją na kolejną rozmowę. Ale odpowiedziała krótko. „Nie chcę tego dziecka” Nie mogłam jej uwierzyć. Coś tutaj nie grało. Poprosiłam więc jej przyjaciela na rozmowę ze mną. Opowiedział, że mieszkają w małej miejscowości, gdzie ludzie zaczną natychmiast plotkować, że oto przyszło na świat nieślubne dziecko. Oboje zaś ich rodzice mają stanowiska państwowe i są całkowicie zajęci swoją pracą. Oni sami z kolei nie mają własnego mieszkania. I dlatego postanowili odłożyć ślub do najbliższej wiosny, licząc na otrzymanie mieszkania w tym mniej więcej czasie. „Chciałbym bardzo mieć dziecko” — powiedział do mnie. I zapłonął prawdziwą radością ten tak młody jeszcze człowiek. Tylko że czas jest nieodpowiedni! Zaczęłam wspólną rozmowę z nimi. Powiedziałam mocno i zdecydowanie, że nie można wyrzucić nienarodzonego dziecka tak, jak się wyrzuca stare, zużyte ubranie. Po krótkiej wymianie zdań kobieta jednak stwierdziła na nowo: „Chcę się pozbyć tego dziecka!” Ale wypowiedziała to jakby zażenowana i zaniepokojona.

Gdy znalazła się potem na stole operacyjnym, zaczęła ponownie płakać. Stałam przed nią ubrana w fartuch operacyjny; wszystko było już przygotowane do „zabiegu”. Zadrżały mi ręce. Myślałam gorączkowo: dziecko jest duże i zdrowe, jej pierwsze dziecko, co robić? Widziałam, jak ta kobieta cierpi z powodu podjęcia fałszywej decyzji. Nie byłam w stanie na nią patrzeć. Anestezjolog dał mi znak, że wszystko gotowe. Kobieta leżała przywiązana do stołu. Lekarze i pielęgniarki czekali na mój sygnał. Tymczasem coś mną wewnątrznie wstrząsnęło przeciwko dokonaniu tej aborcji. Nie miałam jednak żadnej podstawy prawnej, aby się przeciwstawić świadomej decyzji tej kobiety. Anestezjo-

log przystąpił do znieczulania. I wtedy powiedziałam głośno: „Nie!” — Pielęgniarki wraz z anestezjologiem spojrzwały na mnie zaszokowane. To się zdarzyło po raz pierwszy!

Moje „nie!” podziałało natomiast na pacjentkę jak wybawienie. Odmówiła aborcji i poszła do domu. Po kilku tygodniach poprosiła mnie do kliniki. Dziękowała gorąco i powiedziała, że jej narzeczony oraz oboje rodzice cieszą się bardzo na to dziecko. Gdy tego słuchałam, byłam wprost zachwycona. Wiem jednak, że moja radość szybko się skończy. Jakie nowe i trudne przeżycia staną się moim udziałem?

tłum. ks. **Lucjan Balter SAC**